



Henryka Milewska

część II z II

Sygnatura notacji: **N0283**

Data urodzenia: **25.08.1925 r.**

Data nagrania: **20.01.2010 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Konrad Starczewski**

Czas nagrania: **część I: 53 min, część II: 61 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Henryka Milewska: Trzymiesięczny kurs traktorzystów, a jednocześnie i kombajnistów ukończyło nas około 20 osób, w tym przeważnie, bo mężczyzn było zaledwie kilku, a wszystko dziewczęta, Rosjanki, Niemki, które były wysiedlone z Powołża i znalazły się w Kazachstanie, i były nas trzy Polki. I wszystkie trzy kurs ukończyłyśmy pozytywnie. Z tym, że jedną od razu przydzielono na stanowisko tokarza, a my dwie, ja i Lucyna Światowiek, też córka zresztą policjanta, byłyśmy jako zmienniczki traktorzystów. Praca była nad wyraz ciężka jak na nasze możliwości. Dlatego, że właściwie byłyśmy samymi pracownikami garażu i podlegałyśmy głównemu mechanikowi, który codziennie rano... W tym okresie zimowym, w czasie remontu codziennie o godzinie 7:00 rozdzielał pracę. Praca polegała na rozbieraniu traktorów i myciu części, składaniu z powrotem. I na ogół to wszystko było pod gołym niebem. Rzadko kiedy, już częściej motorów, że myło się pod dachem, a resztę wszystko wykonywało się przy 25-30 stopniowym nawet mrozie, a poza tym kierowano kolejno do pracy w kuźni albo u ślusarza. Mi się bardzo często trafiała właśnie praca w kuźni. Walenie młotem, dla takiej 17-letniej dziewczyny, od rana do wieczora, było sprawą naprawdę trudną. Tyle, że było pod dachem, więc to miało jeden plus, że nie było się na dworze. To była pora zimowa. Remont motorów i właśnie praca w garażu. Natomiast na wiosnę od razu śniegi. Tam zima była bardzo długa. I już nie wcześniej jak na początku maja śniegi znikają i to w ciągu kilku dni zaledwie, i traktory wyruszały w step. Najpierw jechaliśmy na step za Irtysz, gdzie właściwie orało się, siało się zboże. Sowchoz miał około tysiąca hektarów do obsługi. To nie tyle sowchoz, co nasza ferma konkretnie. I praca była od świtu... Właściwie nie było czasu, nie było godzin, bo orało się nawet w nocy. W dni, kiedy właściwie niewykonywany był plan, to wtedy na konia wsiadał jeden z Kazachów i jechał przed traktorem, znacząc ślad, po którym trzeba było jechać. Tak że orka i sianie odbywało się nawet w nocy. Oczywiście dzisiaj jak patrzę na to, to można mieć znak zapytania, co to było warte, jeśli było nakazane, że bruzda

musi być co najmniej 18-centymetrowa, a w nocy kto to mierzył. Po prostu się orało, bo trzeba było plan wykonać. I nocna zmiana to od świtu do nocy i na rano przychodziła druga zmiana na dzień. Traktor właściwie nie odstawiało się, tylko obsługa się zmieniała na tym traktorze. To były miesiące właśnie bardzo wczesnej wiosny. Później jechało się na sianokosy nad Irtysz, bo tutaj już orki były skończone i chwilowo pracy nie było. Aha, jeszcze co dodam. Co było uprawiane, pszenica, ale tylko jara, bo zimowa wymarzała, proso i owies. To były trzy zboża, które były tam produkowane. Następnie jechało się na żniwa. Po wylewie Irtyszu trawy sięgały powyżej traktora tak że chwilami się wjeżdżało dosłownie nie widząc przed sobą dalszej drogi i bardzo często było wpadanie do jakichś różnych rowów, zagłębin, które zostawił Irtysz. W tych trawach unosiły się roje, dosłownie roje komarów i muszek. Tak że nasze nogi ociekały krwią, bo nie nadążył się człowiek opędzać od tego. Daleko, jak byliśmy w stepie nad Irtyszem, dalej głęboko, dalej nad samą wodą, to na noc się nie wracało zupełnie do wsi, tylko spaliśmy w stepie, wśród tych traw, wśród rozpalonych ognisk. Zresztą o tym wczoraj mówiłam, żeby położyć się, to trzeba było wykopać cztery dołki, posypać nawozem suszonym, rozpalic i wiatr to obwiewał, bo to tylko w ten sposób można było leżeć, bo inaczej to by człowieka w nocy zjadły te owady. Zaczynała się chleboborka, czyli inaczej mówiąc żniwa. I wtedy zależy, pracowałam czasami na traktorze, a czasami obsługiwałam kombajny. Zresztą cały personel, wszystko to były dziewczęta takie w moim wieku. Zresztą nie było mężczyzn. Mężczyzna to był brygadier, był mechanik. Mało tego, bo na przykład mechanik to rano wjeżdżał w pole i kładł się w bruzdy, przywiązywał konia i tylko wypatrzył, gdzie który traktor stoi, żeby jechać i pomóc ratować, bo wtedy, kiedy jakaś awaria była. I tak pracowało się do końca października. W październiku przychodziła nagle zima i już właściwie śniegi spadały w listopadzie, to już w ogóle na święto rewolucji to śniegi były takie, że w ogóle bez sań dalej nie przejechało się. W tym czasie miałam kilka... Aha, i jeszcze coś. W czasie pracy w garażu, godzina czasu była przeznaczona na posiłek, na obiad. Ale to trzeba było pójść i zjeść, bo w garażu niczego nie było, nikt nie dawał, żadnych stołówek nie było, niczego. My, dziewczęta, Polki, na ogół nie wychodziłyśmy w ogóle, bo nie miałyśmy po co iść. W domu na nas obiad nie czekał. Chleb, który dostawałyśmy, mogłyśmy wykupić, bo nie dostawałyśmy, tylko trzeba było wykupić te 50 deko, czy 60 deko chleba w najlepszym razie to był pajok, który miał wystarczyć na całą dobę. Na matkę niepracującą, bo nie miała się w co zresztą ubrać, to dostawałam 20 deko chleba. Chleb był ciężki, czarny z różnymi dodatkami, z otrębami. Tak że w zasadzie też ten przydział, to on wystarczył na jednorazowe posilenie się. Z tym, że taka głupota była, że całe plony, te, które przysługiwały sowchozowi, były odstawiane do Pawłodaru, do województwa. Wszystko wywożono. Natomiast później przydział trzeba było przywieźć z kolei z Pawłodaru. A sowchoz w czasie wojny dysponował jedną ciężarówką, która jak się popsuka czy drogi zasypało, burant, śniegi, nieprzejezdny był, dróg nie było tak jak już przedtem mówiłam, tylko jeździło się wyjeżdżoną trasą przez step, to w ogóle po ten chleb nie było możliwości, tego zboża przydzielonego nam, nie było warunków otrzymać. Wobec tego były, i dziesięć dni nieraz zdarzało się, gdzie chleba nie było, bo piekarnia nie miała z czego upiec. I później, jak to zboże wreszcie dotarło i młyn był uruchomiony, bo garaż uruchamiał młyn, też to dodawano zamiast 60 deko chleba, dostawaliśmy 20 deko mąki, więc to był jakiś zapas, który się trzymało na ogół, na czarną godzinę się mówiło, wtedy się zatrzymało do woreczka tę mąkę, którą się dostało wcześniej, za tamtej nie, gdzie nie było w ogóle żadnego jedzenia i to się trzymało na czarną godzinę, nie wiedząc co przed nami, co nas czeka. W okresie tych prac miałam kilka bardzo poważnych przypadków, z których nie zawsze wychodziłam cała. Mianowicie jeden z takich przypadków pracy to zakładanie nowych kos. Kolega nasz, zresztą Polak, niechcący rzucił młotkiem, przebił mi żyły na nodze. Wdała się gangrena, leżałam w szafasie przez pięć dni, nie otrzymując przydziału chleba, bo przecież wiadomo było, kto nie pracuje, ten nie je. Wobec tego tam

Polki mi dawały jakąś wodę gorącą i pewnego dnia ta noga już doszła do takich rozmiarów, opuchnięcia, że nie wiedzieli, co ze mną zrobić. Wówczas jedna z naszych pań, z którą zresztą się zaprzyjaźniłyśmy, z którą przyjaźń łączyła nas jeszcze po wojnie, zdecydowała, że zawiezie nas do Czornego, do ambulatorium, gdzie felczer, bo tylko felczer był, obejrzał moją nogę i wypisał mi skierowanie na amputację do Pawłodaru. Powiedział gangrena i tutaj już nie ma ratunku. Tę nogę trzeba amputować. To jest ta noga moja. Na szczęście tej pani, Polce, która zresztą już nie żyje, pani Zosia Tomczewska, postanowiła mi nogę ratować i później, jak rozmawialiśmy niejednokrotnie, nie potrafiła nawet sobie przypomnieć, z czego zrobiła maść. Gdzieś u Kazaczek zdobyła odrobinę masła, jakieś zioła i coś nagotowała, i zaczęła mi przykładać do nogi. Rzeczywiście ropa dosłownie buchała i noga została uratowana dzięki temu. To był jeden przypadek. Drugi raz po prostu przeprawiając się przez rzeczkę Czorna, to był dopływ Jertysza, łódź się przewróciła. Dostałam po głowie łodzią i uratował mnie Niemiec zresztą, który pracował na drugim traktorze, Jaśka Kietmajer i dzięki niemu właściwie żyję. Teraz następny przypadek przy orce traktor przygniół mi nogę do pługa. Mam do dzisiaj ślady na nodze, bo to groziło mi, że wtedy w ogóle zgniecie mnie, bo to duży... Jeszcze nie powiedziałam, że pracowaliśmy tylko na traktorach dużych, tak zwany czelabijski traktor niezawod. To są duże gąsienicowe traktory. I taki traktor mi właśnie tę nogę przyduśił. Poza tym bardzo dobrze pamiętam i bardzo duże wrażenie zrobił na mnie pożar stepu od traktora, w którym akuratnie pracowałam, zresztą wtedy też z Niemcem, tylko innym. Niemców było dużo, bo ich wywozili wtedy, kiedy prąd szedł niemiecki, to ich wywozili, cofali właśnie na Kazachstan i oni tu z nami razem pracowali. I wtedy chyba iskra padła z naszego traktora, step się zajął, olbrzymi pożar, tak, że nawet żniwarze z powiatu 15 kilometrów, przyjechały straże pożarne, bo nie można było ugasić tego stepu i wtedy niewiele brakowało, żeby mnie groził sąd. Dlaczego? Dlatego, że tu Polak i Niemka spowodowali pożar, więc wszystko wskazywało na to, że to przeciw nam działa. Na szczęście był z nami taki stary brygadzysta, Gan Iwanowicz, i on swoim słowem zapewnił, że tuż przed nami jechał jakiś Kazach na koniu, który rzucił widocznie niedopałek, bo palił papierosa, i ten pożar powstał z tego. I dzięki temu uniknęliśmy takiej odpowiedzialności, która mogła się tragicznie skończyć, bo kary były bardzo wysokie i za wszystko nasza koleżanka, córka zresztą dyrektora Cegielni w Kamionce, Ewa Poznańska, dostała pięć lat więzienia za odrobinę zboża, które miała w kieszeni. I za to dostała wyrok pięciu lat. Jak myśmy wracali do Polski, to ona nie wróciła, bo była w tym czasie w więzieniu i nie było siły, która by z tego więzienia ją wyciągnęła. Ten układ Sikorski ZSRR z naszym państwem, z generałem Sikorskim, jakoś dożyliśmy. Było bardzo ciężko. Właściwie trudno sobie dzisiaj wyobrazić, że myśmy to mogli przeżyć, ale mamy to za sobą i tylko zostało wspominać. I wtedy trochę... Wróciło parę osób z łagrów. Między innymi też czekałyśmy na ojca, licząc, że może się pojawi. Niestety przyszedł jeden, który bardzo nam pomagał, później bardzo się opiekował, pan Tomczewski Jan, który pracował w wyrębietajgi i któremu upadło drzewo, złamało mu nogę i wtedy, kiedy właśnie była amnestia, to przywędrował gdzieś z tajgi na Kazachstan o własnych siłach, o dwóch kulach, bo zdążył się dowiedzieć poprzez Ukrainę, gdzie znajduje się rodzina. Ale to był jedyny przypadek, jedyny człowiek, który wrócił ze zsyłki tam do nas. A tak to właściwie się nic nie widziało. Wiadomo było, że tworzy się armia, ale myśmy byli tak daleko i tak... W ogóle docierały wiadomości tylko na ten temat. Żeby pojechać do Pawłodaru, to trzeba było mieć zgodę, dostać przepustkę od [niezrozumiałe, 00:16:52], żeby móc pojechać do wsi, do Pawłodaru, do wojewódzkiego miasta naszego. W tym okresie jeszcze oficjalnie nie było wiadomo nic na temat tego, co się dzieje w naszej armii, że powstaje wojsko. To takie były głuche wiadomości, które docierały jakąś drogą okrężną. Nieco później, powiedzmy po dwóch czy trzech miesiącach dowiedzieliśmy się, że powstał w Pawłodarze jakiś komitet, który ma nam przychodzić z pomocą. Pomoc ta właściwie była żadna, bo to przychodziły rzeczy amerykańskie,

które w pierwszym rzędzie szły na opłacenie się ludzi tu na miejscu, w Pawłodarze. Bo trzeba było zapewnić sobie jakiś byt. Tak że to, co dotarło do nas, do sowłchozu, to były już marne resztki, które niewiele się przydawały. Owszem, założmy, że tam dostawały rodziny, które miały małe dzieci dostały jakąś paczkę kakao. Tego rodzaju. Jakąś torebkę ryżu. Ale to było nieznaczące. Mało tego, bo nie dawano na ogół ludziom pracującym, bo mówiło się tak, że jak pracuje, to jakoś tam przeżyje. Dzieciom trzeba pomóc. I rzeczywiście myśmy akceptowali to, bo co mieliśmy zrobić. Na przykład z pomocy amerykańskiej przyszły w pewnym okresie buty. To były normalne buty wojskowe z gwoździami na podeszwie i taki but ten pan, właśnie o którym mówiłam, że wrócił z łagru, któremu pomagałam robić te wykazy, stąd właśnie ten wykaz, który panu prezentowałam, wywalczył dla mnie taką parę butów, bo właśnie chodziłam tylko w takich zrobionych z włóczki i zawiniętych szmatami takich kapciach. Ale miałam te buty tylko przez dwa czy przez trzy miesiące. Dlaczego? Dlatego, że się okazało, że moja mama jest ciężko chora na żółtaczkę i nie ma żadnej możliwości jej leczenia, nie ma czym leczyć. Izba, bo to tylko była... Wieś posiadała izbę porodową i tam przyjmowali takie ciężkie przypadki chorych. Ale ta kobieta, która była właśnie chora na żółtaczkę, dostawała raz dziennie supę z kwaszonych pomidorów i nic więcej. Więc lekarka, która była Niemką, bo tam właśnie dużo, jak ja mówię, Niemców było, lekarka Niemka, powiedziała mi, że: „Musisz matce zapewnić jakiegoś mleka czy coś, bo przecież nie wyżyje na tym”. I ja te buty za 30 litrów mleka sprzedawałam, żeby mamie zapewnić codziennie pół litra mleka, które.. Jak ja pojechałam w step, to Rosjanka mamie przynosiła do tego szpitalika, jeśli tak można nazwać, te pół litra mleka. Więc ja z tych butów korzystałam może z dwa czy trzy miesiące i to była tego rodzaju pomoc. Po za tym takie były dziwne stosunki, że do tych władz to przede wszystkim dostały się osoby przed wojną mające wysokie stanowiska. Panie sędziny, panie adwokatowe, panie... W każdym razie... Pani rotmistrzowa na przykład taka była, kapitanowa, to one miały do... Więc one oczywiście uważały, że tutaj w Polsce Niemcy wykańczają inteligencję. Wobec tego ich obowiązkiem jest ratować inteligencję, która znalazła się na Wschodzie. A my jakoś sobie damy radę, bo zawsze byliśmy taki słabszy element mniej potrzebny dla przyszłej Polski, prawda? Rzeczywiście jakoś starałyśmy sobie dać radę choć bardzo ciężko było, ale... Sytuacja dla nas się zaostrzyła. Dlatego, że po wycofaniu się wojsk do Iranu, oczywiście wszystko się obróciło z kolei znów przeciw nam. Odebrano nam dokumenty, które w międzyczasie dostaliśmy polskie, które znowu nam zabrano i znów staliśmy się obywatelami radzieckimi. I już wtedy wydawało się, że to już rzeczywiście nastął dla nas koniec. Do momentu, kiedy zaczęła się tworzyć armia Berlinga w Rosji. Ale... Wtedy już była mobilizacja, wtedy już ogłaszali. Ale nie było komu iść. Dlatego, że młodzież, która jeszcze się nadawała, to już poszła do armii Sikorskiego, natomiast na przykład ja miałam wielką nadzieję, że pójdę do tego wojska, ale moja matka, która była bardzo zresztą słabą istotą i w ogóle taką stale chorującą, po prostu mnie błagała: „Jak mnie zostawisz tutaj samą, przecież ja tu nie przeżyję”, bo ja pracowałam cały czas, ja cały czas utrzymywałam nas dwie. To, co mogłam, to właśnie mówiłam, i przędłam, i co mogłam, to robiłam. I myśmy tak doczekaliśmy 1946 roku w takich strasznych warunkach, jeszcze nic nie wiedząc ani o ojcu żadnej wiadomości, ani o nas. Mało tego, dopiero w 1946 roku dostałyśmy pierwszą wiadomość, jak było wyzwolenie Warszawy, dostałyśmy pierwszy list z Warszawy, w którym właśnie mamy brata, a mój wuj, pisał, że: „Jeśli będziecie kiedyś mogli wrócić, to wracajcie do Warszawy, to ja wam jakoś pomogę”. I stąd się tutaj znalazłyśmy, bo transport był przygotowywany długo. Myśmy właściwie wyruszyli stamtąd, z sowłchozu 1 maja 1946 roku dopiero. Ja zdatowałam niezrozumiałe, 00:23:25] Nie. 1 kwietnia, 1946 roku, a 3 czerwca przyjechałyśmy do Warszawy, więc ponad miesiąc byliśmy w drodze, ale to było zupełnie już inny rodzaj jazdy, bo wagony były otwarte, można było się poruszać. Wprawdzie wszy nas objadały, przez miesiąc niemycia, stamtąd już się też wyjechało w nie najlepszych warunkach, ale to już była nadzieja jakaś,

że jedziemy do Polski, że wrócimy, że jakoś się pozbieramy. I to tak chyba by było w skrócie telegraficznym. Z tym, że na granicy, w Białej Podlaskiej oddzieliliśmy się od transportu z mamą, bo było na granicy powiedziane, że jeśli ktoś nie chce jechać z transportem, bo transporty szły tutaj Kołobrzeg, Koszalin, tamci znajomi to wszyscy tam wylądowali, to mógł się oddzielić i wysiąść na stacji, i później podczepiali do wagonów, kto gdzie chciał jechać i myśmy wysiadły właśnie w Białej Podlaskiej, i przyjechałyśmy do Warszawy. Tak że 3 czerwca, 1946 roku na dworcu zachodnim w PUR-ze, wylądowałyśmy tam. Żeby...

Konrad Starczewski: A w Pawłodarze jakoś panie zostały oficjalnie poinformowane, że jest...

Henryka Milewska: Tak, do Pawłodaru to organizowali transport. To znaczy sowchoz miał obowiązek dać podwoznię zapożyczone woły, bo tam cały transport to były byki, jak to się mówiły woły. Ale ten transport był przeznaczony dla ludzi starych i dla dzieci, i jak ktoś miał jakiś bagaż. Bagażu nie miałyśmy. Myśmy z mamą przyjechały z taką skrzyneczką, nie wiem, po czymś, jakąś, w której dosłownie była, o, czugunka, to jest pamiątka moja, to jest jedyne naczynie, które przeżyło z nami 46 lat. Kupione zresztą za jakąś rzecz. To jedyne naczynie, które miałyśmy. Dwie drewniane łyżki, bo tam tylko takie. Takie jak mam w kuchni też, takie strugane łyżki. I to było wszystko, co myśmy miały. Więc w tej skrzyneczce to był cały ten nasz dobytek. Na drogę dano nam suchy prowiant. Suchy prowiant to była suszona baranina, kasza jaglana i groch. Więc proszę sobie wyobrazić w transporcie, gdzie nie ma na czym ugotować, ma pan suchą baraninę, groch i kaszę jaglaną. Więc to się w zasadzie od razu w Pawłodarze na targu wymieniało na chleb. Chleb, który nam od razu... Bo to chleb był, tak jak mówiłam, niewartościowy, tylko taki czarny, który od razu nam spleśniał. Tak że ta podróż, która z powrotem miała być jakaś już inna, była inna, była przyjemna, byliśmy szczęśliwi, ale tym niemniej tak strasznie głodni. Ja pamiętam, że na granicy, ale po stronie rosyjskiej, już nie pamiętam jaki transport stał dwa dni, to jakiś ksiądz dla dzieci organizował jakiś posiłek, bo to wszystko było głodne, nikt nic nie miał. My czekaliśmy na przekroczenie granicy nie jedząc, bo to, co nam dali, to się nie nadawało na 30 dni przecież. I ta czugunka, ile na nią spojrzeć, to taki kuzyn mój jeszcze kiedyś zobaczył u mnie, bo ona stała w kuchni gdzieś tam i powiedział: „No, nie, taką rzecz, to trzeba jakoś udokumentować” i dał zrobić na łańcuszku, „Kazachstan, 1940-1946”. To jedyne nasze naczynie, które by mogło dużo opowiedzieć, bo ono z nami było cały czas. Właściwie jedyne pamiątkę, jaką mam z pobytu w Kazachstanie, to jest ta czugunka, która by mogła dużo o nas powiedzieć. Ją miałyśmy 40 lat i to było jedyne nasze naczynie, jakim dysponowałyśmy, i w którym gotowało się wszystko. I herbatę, wodę na czaj, jak to się mówiło, i zupę. To było... To z nami zostało i z wielkim szacunkiem patrzę na to naczynie. I tu jest napisane: „Kazachstan, 1940-1946”. To naczynie było tyle dobre, że tu trzeba było do niego bardzo mało opału. Tu wystarczyło ułożyć odpór na kuchnię i odrobinę nawet jakimś sianem czy czymś zapalić, to to wszystko się momentalnie w tym zagotowało. Z tym, że jak panowie widzą, ilość raczej nieduża jak na dwie głodne osoby, ale to było w ogóle nieosiągalne. To była tak wartościowa rzecz, że zniszczenie to groziło już naprawdę nieposiadaniem do końca innego naczynia. To na początku nie pamiętam już, wymienione zostało za coś, bo tego kupić nie można było. To trzeba było od ruskich nabyć. Jak było trudno zdobyć, to jednak powiem, że nasza gospodyni, u której mieszkaliśmy, Rosjanka, miała czworo dzieci i takie naczynie służyło jako nocnik po prostu tym dzieciom. I później jak się zbił ten jedyny, w którym gotowała, to ona ten, który był traktowany jako nocnik został wyparzony i ona gotowała dalej, bo to już nie było mowy o tym, żeby nabyć kolejne. Pamiętam, ten starszy chłopak, taki był wtedy 14-letni, bardzo zbuntowany, to mówił: „Mama, jak można?”, ona mówi: „To w ogóle nie będziesz jadł,

bo ci nie ugotuje w niczym, nie mam nic i nie ma szans na to, żebyśmy ją mogła jakieś zdobyć naczynie". I co mogę jeszcze powiedzieć? Aha, o Warszawie.

Konrad Starzewski: Jeszcze może o tych księżach.

Henryka Milewska: Aha, dobrze, dobrze. Więc tak jak poprzednio, przy wyjeździe z Polski odprowadzał nas w Łucku ksiądz, który przyjechał gdzieś z jakiejś wsi, szedł wzdłuż wagonów, błogosławił nas i udzielał nam absolicję na śmierć, bo nie wiadomo było, dużo nie wróciło i wiadomo. Tak tutaj na stacji w Pawłodarze, wtedy, kiedy czekaliśmy na transport, bo tam siedzieliśmy na stacji chyba trzy czy cztery dni, bo było wiadomo, że mamy tu się pojawić, a pociągu nie było i myśmy tam nocowali na takim strasznym buraniu zresztą, na ulicy, na tych dworcach czekaliśmy na wagony, które nam podstawią. I wtedy, kiedy ten transport już został podstawiony, ku naszemu zdumieniu, zachwycie i wdzięczności wtedy nawet, było to, że batiuszka z pobliskiej cerkwi, która tam niedawno powstała, z grupką jakichś staruszek, przyszedł pomodlić się i pobłogosławić nas na drogę. Dosłownie. Dzisiaj mnie to zatyka, jak mówię na ten temat, bo to było tak wzruszające. Od nich doznaliśmy krzywdy, ale on uważał, że jednak jego obowiązkiem jest nam życzyć dobrej drogi, pobłogosławić nas.

Głos zza kadru: Nie wiadomo jaki los był potem jego.

Henryka Milewska: A to też nie wiadomo, jaki los był jego później, to nie wiem. W ogóle muszę powiedzieć, że ta ludność, którą wychowano w ateizmie, cały czas zachowała, kobiety zwłaszcza, zachowały poczucie przynależności do kościoła. Na przykład jak przychodziła pora Wielkiej Nocy, to była taka jedna starsza kobieta, bojowa bardzo jak na tamte stosunki, że szła od domu do domu i zbierała od każdej kobiety po jednym jajku, i z koszem jaj jechała do Pawłodaru, prosiła o pozwolenie, i jechała poświęcić te jajka, później roznosiła po domach po jednym jajku, bo żeby mieć podzielić się na święta. Mało tego, w większości izb w domu był ołtarzyk, ale zasłonięty, zaciągnięty firanką, a tutaj na tej firance wisiał jakiś obrazek. A pod spodem była ikonka. Mało tego, bo już jak po wybuchu wojny, jak już takie troszkę rozluźnienie zaczęło być, to przyjechał batiuszka, bo to wszystko ich księża, przyjechał batiuszka chrzczyć dzieci, to mężowie wtedy wybywali z domu, ich nie było. I one niosły tam do tego batiuszki ochrzcić dzieci, ale jednocześnie później jak ich wzywali, to mówili: „No, co, głupia baba, zaniósła dziecko, to co miałem zrobić? Wyflu-chłem ją później, ale zaniósła, to zaniósła. A co mi tam przeszkadza, niech sobie niesie”. Więc w ten sposób. Tak że oni właściwie, te kobiety to były na ogół, miały chęć praktykować. Nie miały warunków ku temu. Ale jakieś takie przejawy były i widać było, że tam w nich coś jeszcze, jakieś isierki zostały tych uczuć. I co, mam mówić teraz o Warszawie? No, dobrze. Więc 3 czerwca, 1946 roku, po 30-dniowej podróży wylądowałyśmy na Warszawie Zachodniej w barakach PUR-u. To Polski Urząd Repatriacyjny, były baraki. Wylądowałyśmy tam, z tym, że przyjechało nas w tej grupie, która się oddzieliła z naszego transportu, trzy rodziny. Jedna jechała pani do Żyrardowa, bo mąż poszedł do armii, był ranny i już miała wiadomość, że osiadł w Żyrardowie i my z mamą tutaj do Warszawy a to były te właśnie dwie rodziny, bo to była teściowa i ona, tutaj jechali do Żyrardowa. I tu w PUR-ze każda rodzina przybywająca dostawała pomoc, nazywało się. 20 złotych na osobę. I myśmy tak, jak już zresztą chyba opowiadałam, dostałyśmy 40 złotych, szczęśliwe, że mamy tyle pieniędzy, że możemy nakupić chleba i za to kupiłyśmy dwa bochenki chleba. Dwa takie komiśniaki, jak to się kiedyś mówiło, razowe, które zresztą zostały przyjęte przez rodzinę: „A pociście to wiozły? Na co to komu potrzebne? Już takiego tu teraz nie jemy”, bo oni już jakoś, zupełnie nieźle im się powodziło. I teraz

ja... Tam wypiliśmy jakiś czaj, który dano nam na dworcu i ustaliłyśmy z mamą, że ja pojedę szukać rodziny, bo my nie mamy adresu. Wiem, że są w Warszawie. Wuj pisał, że pracuje w Banku Gospodarstwa Krajowego. W Warszawie nigdy nie byłam. Od sześciu lat byłam w stepie, w ogóle miasta nie widziałam. Ale wyruszam na poszukiwania rodziny. Pamiętam, że tutaj w pociągu z zachodniego dojechałam na dworzec główny, który się tu mieścił, a później na piechotę, pytając się ludzi, trafiłam do róg alei Nowego Świata do Banku Gospodarstwa Krajowego. Ubrana w sposób dziwny, w jakichś takich strojach, że ludzie się za mną oglądali, dotarłam na parter, tam był portier i pytam się właśnie o wujka, a on mówi: „Na czwartym piętrze - zawsze pamiętam - pokój 409”. Więc windę? Nie, no, windę nie pojedę, bo się boję windy. W ogóle w życiu nie widziałam jeszcze, bo tam u nas na Wschodzie były parterowe domy, tutaj nagle się znalazłam. Idę na piechotę na to czwarte piętro. Weszłam na górę, stanęłam przed tymi drzwiami, jak tu wejść. Namyśliłam się, zapukałam i ktoś mi mówi: „Proszę”. Wchodzę. Wchodzę, siedzi przy maszynie taka pani w średnim wieku, która na mój widok pyta mnie się: „Czego?”. Bo tak wyglądałam, że inaczej widocznie uważała, że do mnie się inaczej nie ma prawa zwrócić, więc ja mówię, że szukam pana Henryka Maurera, to znaczy tego mojego wujka. „Nie ma”. Powiedziałam „Przepraszam” i wyszłam na korytarz. Ale co dalej? Wróć teraz do mamy na ten dworzec zachodni i co jej powiem? Nie ma. Umarł, wyjechał, przecież tu jechałyśmy do niego. Więc zbierałam się w sobie z dziesięć minut co najmniej, drugi raz pukam. To ona już jest wściekła. „Mówiłam, że nie ma”. Ja mówię: „Proszę pani, ja jestem...”, podaję swoje nazwisko i mówię, że przyjechałam z Rosji. Kobieta podrywa się od maszyny, łapie. Okazało się, że to sekretarka wujka. Więc już inaczej mnie przyjęła. „Dziecko kochane, to pan Henryk się ucieszy, bo oczekuje, bo wie, że transporty i tak dalej”. Proszę sobie wyobrazić.... Aha, od razu... Wuj był na jakiejś konferencji, więc wobec tego powiedziała: „Zaraz załatwię, żeby woźny, który zaprowadziłby panią na Rozbrat”, bo na Rozbrat mieszkanie i do domu, tam na pewno wujka to nie ma, ale babcia jest i... Proszę sobie wyobrazić, że ja tę panią niejednokrotnie spotykałam później w banku, bo pracowałam całe życie, ta pani też pracowała i za każdym razem ta pani mnie owacyjnie witała, a ja zawsze słyszałam to: „Czego?”. Mimo to, że rozmawiałyśmy, ale to „Czego?” tak po mnie zostało po prostu. I rzeczywiście, woźny taki młody człowiek, później jak się okazało zresztą, bardzo partyjny, ale to wtedy mi nic nie mówiło, zaprowadził mnie na Rozbrat. Jak mnie przyprowadził tam do mieszkania, babcia jak mnie zobaczyła, jak zaczęła krzyżeć: „Co te łobuzy zrobili z tego dziecka?”. Zniszczona, brudna, obdarta. Zresztą pamiętała mnie 14-letnią, przyjechałam 21-letnią, więc to widok był na pewno jakiś szokujący. I od razu do wanny, mycie, szykowanie. Akuratnie piekła jakieś ciasto, więc wszystko zgarnęła, bo tam powiedziałam, że PUR-ze jest całe miasteczko tych ludzi, więc oczywiście, że tam nakarmić, bo dzieci, bo to. I w ten sposób dotarłyśmy na Dworzec Zachodni, gdzie z kolei babcia znów urządziła niesamowitą scenę, jak zobaczyła matkę leżącą na ziemi, śpiącą na ziemi w takich drugich łachmanach. Więc znów tam urządziła tak odpowiednią scenę. Ale tutaj w ten sposób już się zadomowiliśmy, miałyśmy dach nad głową, miałyśmy rodzinę, która zresztą bardzo wiele mi pomogła, bo dzięki wujowi mogłam skończyć szkołę, później poszłam do pracy, zresztą...

Konrad Starczewski: Wuj jak się nazywał?

Henryka Milewska: Słucham?

Konrad Starczewski: Wuj jak się nazywał?

Henryka Milewska: Henryk Maurer. Tak że dzięki właściwie niemu mogłam jakoś wystartować. Później zaczęłam pracować, dostałam mieszkanie w banku, na Rozbrat najpierw, kawalerkę z mamą dostałyśmy. Ale później zamieniłam to na to większe mieszkanie, w którym mieszkamy od 1954 roku zresztą. I to są takie moje dzieje. A pracowałam w trzech bankach właśnie, bo wtedy byłam w Gospodarstwa Krajowego, później przeorganizował się w ramach przeniesienia, więc nie zmieniałam banku, to bank inwestycyjny, a później Narodowy Bank Polski. W 1980 roku przesłam na emeryturę. Ojciec pochodził z Turki nad Stryjem. Był synem rolnika, więc oni mieli jakiś, nie wiem, gospodarstwo raczej większe, gospodarstwo raczej większe, ale nie wiem jakiego rozmiaru i mieli kamieniołomy, które sprzedawali, bo te tereny, gdzie te kamieniołomy szły na drogi, na ten, więc tym się zajmowali. Nie wiem, jak to określić. Nie wiem. No, w każdym razie z tego żyli. Było ich sześciu synów. Trzech synów, trzy córki, ojciec był policjant właściwie od zawsze, bo jako ochotnik w czasie pierwszej wojny światowej zgłosił się do wojska austriackiego. Później przeszedł do żandarmerii w wojsku, a w momencie powstania państwa polskiego został przeniesiony do policji i w tej policji był całe życie. W 1939 roku miał przejść na emeryturę, bo już mu się należała pełna emerytura po 20 latach pracy i tak sobie właśnie wyobrażał. A że miał ukończoną szkołę handlową, to zawsze mówił, że wobec tego jakiś kiosk weźmie papierosowy, bo to najłatwiej będzie mu prowadzić, bo ma uprawnienia i tego. I tak jak mówiłam, że był najpierw w Stanisławowie, tam się rodzice poznali i pobrali, później ojca przenieśli do Brzeżan, obecnie Biereżane, a później do Kamionki, w 1938 roku do Kamionki Strumiłowej, obecnie Kamjanka-Bużka się nazywa. I w 1939 roku, jak ewakuowali policję w stronę granicy rumuńskiej, oczywiście ojciec z wszystkimi wyjechał, z tym, że wrócił. Wrócił pod koniec września, nie umiem powiedzieć, nie znam tej daty, nie umiem sobie odtworzyć daty, pod koniec września.

Konrad Starczewski: Ale nie został zmobilizowany [niezrozumiałe, 00:42:49].

Henryka Milewska: Jako policjant. Nie wszyscy... Tak, jako policjant. Policja opuściła Kamionkę. Samochody i wyjechali, więc... Byli podobno już tu czy gdzieś przy granicy rumuńskiej i ojciec z drugim kolegą zdecydowali się wrócić. Dlatego, że tak jak później tłumaczył, zresztą ten pan też, który też razem zginął, tłumaczył, że po prostu sobie nie wyobrażał, że my dwie w obcym mieście, nie mając żadnych znajomych, rodziny, jak my sobie damy radę? Że on jako mężczyzna wróci, pójdzie gdzieś do pracy takiej czy innej, będzie pracował i po prostu w ten sposób będziemy żyli. Z tym, że w kilka dni po ojca powrocie milicjant miejscowy, bo to wszystko albo Żydzi, albo Ukraińcy od razu byli milicjantami, przyszedł i ojca zawiadomił, że: „Dzisiaj w nocy po pana przyjdą. Radzę, żeby pan zniknął z tego terenu, bo pana dzisiaj mają aresztować”. I tam sobie przypomniał, że ojciec mu kiedyś, coś, wyświadczył jakąś przysługę i on miał, za swój obowiązek uważał zawiadomić. Ale, że nie miał się ojciec gdzie podziać, bo tak jak mówiłam, dopiero mieszkaliśmy rok, ani rodziny, to co, konsternacja, co z sobą zrobić? To mówi: „To ja pana wezmę do siebie na razie. Niech pan idzie do mnie na wieś”. On mieszkał na Zaburzu. Taka wieś Zaburze, zaraz za Bugiem, po drugiej stronie za mostem. A w międzyczasie... Bo myśmy już zaczęli ze Lwowem, gdzie była rodzina, załatwiać, że ojcu dokumenty wystawią, że jest tutaj z centralnej Polski, żeby mógł przejść na tę stronę, ale to było trzeba odczekać, bo te dokumenty musiały potrwać, tworzenie nowych dokumentów. I na tym stanęło, że on pójdzie, ojca weźmie do siebie. I ojciec był u niego chyba na początku, w pierwszych dniach stycznia. Już też nie wiem, który to tam styczeń, ale w pierwszych dniach stycznia. Tak, w pierwszych dniach stycznia. Przyszła kobieta, która nas zawiadomiła, że widziała, że ojca aresztowało NKWD, że on przyproceedził enkawudzystów pod swój dom, wskazał ten dom i sam się wycofał. I oni weszli, ojca aresztowali. I był w tym więzieniu do 21 marca, 1940 roku w Kamionce

w więzieniu. To tak jak też już na ten temat mówiłam, że nosiło się jedzenie, bo pozwalali codziennie przynosić jedzenie, sami nie dawali jeść, więc akceptowali, żeby rodziny w jakichś menażkach przynosiły. Tak że ja, idąc do szkoły, bo obowiązek był chodzenia do szkoły, więc chodziłam wtedy do... Szłam, idąc do szkoły, zostawiałam menażki, a wracając ze szkoły zabierałam. No, a 21 marca, tak jak też wspominałam, dowiedziałam się, że będzie transport, będę więźniów wywozić i byłam pod więzieniem akuratnie wracając ze szkoły i widziałam po raz ostatni ojca właśnie, jak go wyprowadzili. I nie wiem, 12, 15, trudno dzisiaj powiedzieć, podjeżdżały sanie i...

Konrad Starzewski: On też panią widział?

Henryka Milewska: Słucham?

Konrad Starzewski: On też panią widział?

Henryka Milewska: Tak. Widział. I mało tego, bo w międzyczasie, jak to mało miasteczko, dawali sobie ludzie znać, mama przybiegła też i stałyśmy, oczywiście wszystkich przeganiali ale zawsze ten tłum się starał przybliżyć i przechodząc, ojciec powiedział: „Przyjedź do Lwowa” do mamy. To znaczy w ten sposób chciał dać znać, że wie, że ich wiozą do Lwowa. Mama objechała wszystkie więzienia we Lwowie, wszędzie dowiedziała się, że takiego nie ma. Koniec. Ślad zaginął.

Konrad Starzewski: To był ostatni moment...

Henryka Milewska: To był ostatni moment, kiedy widziałam właśnie ojca. I cały czas liczyłyśmy na to, że on żyje, bo właśnie też już mówiłam na ten temat, że nas jak zabierali, to wciąż mówili, na przykład do matki: „Nie płacz, nie płacz, jedziesz do męża. Czego płaczesz, głupia? Przecież tam mąż na ciebie czeka”. Wtedy, kiedy on już wtedy nie żył. Bo tak jak z tego wynika, to przecież ich od razu uśmiercali po tym podpisaniu przez Stalina wyroku śmierci na wszystkich. Tak że...

Konrad Starzewski: Jeszcze gdyby pani mogła opowiedzieć o tym, jak dowiedziała się pani o zbrodni katyńskiej? Pani rodzina...

Henryka Milewska: Proszę pana...

Konrad Starzewski: Jakie to były okoliczności?

Henryka Milewska: Po prostu słuchało się audycji zachodnich. I o tym bez przerwy mówili, prawda? A tutaj myśmy właściwie... Z kim ja mogłam rozmawiać? W pracy nie mogłam mówić. Wśród najbliższych, w domu się rozmawiało. Z tym, że cały czas nie mieliśmy złudzeń, że chyba tak było, że to znając ich metody i wiedząc, na co ich stać, to myśmy wierzyli w to, że ojciec nie żyje i że na pewno go zaraz zamordowali. Ale...

Konrad Starczewski: Ale rozumiem, że dopiero po powrocie?

Henryka Milewska: Nie, tam to nie. Tam w ogóle się na ten temat nie wiedziało. Wiedziało się o obozach, o łagrach, że tam są ludzie, że tak dalej. O Katyniu nic się nie mówiło.

Konrad Starczewski: A czy to wuj na przykład przekazywał informacje o tej zbrodni, że coś takiego w ogóle miało miejsce?

Henryka Milewska: Ale gdzie, tam na Zachodzie?

Konrad Starczewski: Nie. Po powrocie.

Henryka Milewska: Tutaj po powrocie. Nie. To się o tym w domu w ogóle mówiło. Mówiło się. Wuj właśnie jak mówię, to był wielkie...?: Tutaj wuja też zdjęcia ze szpitala, jak od...

Henryka Milewska: Tak, tu chory.

Konrad Starczewski: Zaraz do tego przejdziemy, dobrze? Momencik.

Henryka Milewska: Wuj był Polakiem z przekonania i Polakiem bardzo dobrze ustawionym, i powiedzmy piłsudczykiem, więc doskonale się orientował i wiedział, brał udział, tak jak mówię, w 1920 roku, leżał ranny we Lwowie, bo był jednym z obrońców Lwowa. Zresztą oznaczony za Lwów. Więc o tym się w domu normalnie mówiło i wiedziało, ale to było tylko w obrębie czterech ścian.

Konrad Starczewski: A 1956 rok jakieś nadzieje przyniósł pod tym względem?

Henryka Milewska: Owszem. Człowiek czuł, że jest odwilż, ale też taka bardzo jeszcze nie. Więc poszukiwania, wieloletnie poszukiwania niestety były bez rezultatu. Poszukiwałam gdzie tylko mogłam domyślić się, że mi coś, ktoś podpowie. I dopiero rok 1994 wyjaśnił sprawę, jeśli można to tak powiedzieć. Ukazała się lista, listy katyńskiej ciąg dalszy, straceni na Ukrainie. Materiał, który dostarczył pan prokurator Śnieżko i który tak na tej liście, okazało się, że ojciec się znajduje. Znajduje się na 972 pozycji. Z tym, że nie wiadomo właściwie, gdzie ten transport poszedł. Dokąd i gdzie ich rozstrzelali. Właściwie wykaz obejmuje 190 osób i pisze, że Ukraina, ale bliżej nie precyzuje miejsca. Są wymienione tutaj Ostaszków, Białoruś, Kozielsk, Starobielsk. Niestety w tym wykazie jest tylko tam, gdzie ojciec wymieniony, to jest Ukraina. Więc właściwie trudno być pewnym, ale według wszelkich znaków na niebie i na ziemi, według tego jak naukowcy rozpatrywali sprawę twierdzą, że prawdopodobnie rozstrzelany został w Kijowie-Bykownia. Następna książka wydana przez Centralne Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji w 1998 roku przybliży już trochę sprawę i tam na stronie 415 jest zamieszczone zdjęcie ojca, które zresztą ja dołączyłam i jest napisane właśnie gdzie aresztowany, gdzie się urodził. Ale wiadomość na ten temat się kończy i nie wiem, czy się kiedykolwiek dowiem, gdzie jego kości zostały złożone. Myślę, że za mojego życia na pewno się sprawa już nie

wyjaśni. A to jest mama. Tu wtedy, kiedy się pobrali rodzice. To jest właśnie mama. Zdjęcie.

Konrad Starzewski: Który to rok jest?

Henryka Milewska: Pobrali się w 1923 roku.

Konrad Starzewski: Tu obok też mama, tak?

Henryka Milewska: Też mama, tak. Powiedzmy rok, dwa później. Już nie wiem. Tak. Tu są rodzice oboje właśnie.

Konrad Starzewski: To już są późniejsze zdjęcia?

Henryka Milewska: To już jest 1939 rok.

Konrad Starzewski: A, 1939 rok. Czyli można powiedzieć, że ostatnie zdjęcia, tak?

Henryka Milewska: Można powiedzieć, że ostatnie. Tak, ostatnie.

Konrad Starzewski: Mamy też z 1939 roku zdjęcie?

Henryka Milewska: Proszę?

Konrad Starzewski: Tutaj mama też z 1939 roku.

Henryka Milewska: 1939, tak, tak.

Konrad Starzewski: A tutaj te dzieciaczki?

Henryka Milewska: A, to to jestem ja. Dziewięciomiesięczna. W Stanisławowie. A to jest cioteczny brat. To ja jestem z bratem ciotecznym. Tak. No, a tutaj to jest świętość moja. Wie pan, co to jest?

Konrad Starzewski: No, słucham?

Henryka Milewska: To są moje włoski obcięte jak ja miałam parę miesięcy i ojca pismem napisane, że włosy Heni. Ja to chucham i dmucham.

Konrad Starzewski: A kto to przechowywał?

Henryka Milewska: To u babci. Właśnie też znaleźli się, bo... A to ja w Brzeżenach, jak jeździłam na urlop, na wa-

kacje do Brzeżan do babci, to wtedy tam chodziłam do zakonnicy na... To jest... To jest pierwszy... ? Pan miał taką dobrą pozycję, bo pan się przecież pochyla.

Henryka Milewska: Pierwsza klasa podstawowa w Brzeżanach. W Stanisławowie nad Bystrycą. Tak. Tutaj ojciec, babcia przyjechała do nas do Stanisławowa i tu jestem ja, ojciec i babcia.

Konrad Starzewski: A ta dziewczynka?

Henryka Milewska: A nie, to jest brat. To jest chłopak.

Konrad Starzewski: Aha, rozumiem.

Henryka Milewska: Tu jestem ja, a to on.

Konrad Starzewski: I tu w klasie zdjęcie, tak?

Henryka Milewska: Słucham?

Konrad Starzewski: To w klasie zdjęcie?

Henryka Milewska: Tu jest w klasie zdjęcie, tak. Tu jestem ja koło nauczycielki i koło księdza.

Konrad Starzewski: Stanisławów, tak?

Henryka Milewska: Stanisławów. Tak.

Konrad Starzewski: Tutaj pierwsza komunia.

Henryka Milewska: To jest też komunia, pierwsza komunia. Tu jestem. No, a tu z pierwszej komunii zdjęcie.

Konrad Starzewski: A tutaj?

Henryka Milewska: To jest Stanisławów.

Konrad Starzewski: A tutaj widzę już stamtąd zdjęcie, tak?

Henryka Milewska: A tu jest wuj, mamy szwagier, ojciec i syn tego wuja. To Brzeżany już, Biereżany obecnie.

Konrad Starzewski: I mama tam obok chyba.

Henryka Milewska: Nie.

Konrad Starczewski: Nie?

Henryka Milewska: To przygodna jakaś pani tam idzie. Na ulicy fotografia, to...

Konrad Starczewski: I to tego samego dnia, bo tu drugie zdjęcie, widzę, jest też.

Henryka Milewska: Tak. To moje z podstawówki. To Brzeżany, to u nas i u babci w domu. To wszystko u góry, wszystko pod górę. Wszystko pod górę. Tak. I tu ja. To olbrzymi staw był w Brzeżanach i tam właśnie nasz dom był na górze, a tu u stóp.

Konrad Starczewski: I kto na tym zdjęciu jest?

Henryka Milewska: A tu jest moja mama, mamy siostra, jej mąż, ja, brat cioteczny, a to dzieci ze Lwowa takich kuzynów, przyjechały.

Konrad Starczewski: A który rok to jest?

Henryka Milewska: Chyba 1937 rok. Poprzyklejały się. To jest, mówię, 1937. To 1938 rok w Brzeżanach. Nasza trójka. Mama, ja i ojciec. To też 1938 rok. Tu święto morza, jesteśmy i czuwamy. Tu ja niosę. Tu za wszystkich świętych składanie wieńców gdzieś na cmentarzu.

Konrad Starczewski: Bo pani w harcerstwie była, tak?

Henryka Milewska: Słucham?

Konrad Starczewski: Pani w harcerstwie była.

Henryka Milewska: Ja w harcerstwie była. Tak. Tu w Brzeżanach też. Teraz była tam, to tam jest teraz... Tu była apteka, teraz jest restauracja. Byłam na obiedzie w tej restauracji, z zięciem była. Tu mama z jakiegoś zebrania wraca z paniami znajomymi, to mama z siostrą też w Brzeżanach, Biereżany. To jest moje grono brzeżeńskiego gimnazjum. To pierwsza moja zabawa, kurs tańców. O, tu siedzę ja. Można przysunąć?

Konrad Starczewski: Tak, tak. Proszę. To są Brzeżany, proszę pana, gimnazjum imieniem Rydza-Śmigłego, 1938 rok. To był sztandar, Rydz-Śmigły ofiarował swojemu gimnazjum, byłemu gimnazjum sztandar i to były wbijane złote gwoździe i tutaj uroczystości niewielkie szkolne. I tutaj ja stoję, o.

Konrad Starczewski: A tu u góry zdjęcia?

Henryka Milewska: Słucham?

Konrad Starczewski: To u góry zdjęcia to Brzeżany dalej, tak?

Henryka Milewska: To wszystko Brzeżany. To w Brzeżanach. O, to już jest Kamionka Buska, czyli Kamionka Strumiłowa. Tu właśnie w harcerskim mundurze jestem, o. I tu są.... To, co ja pokazywałam, wpisane koleżanki, które były w Kazachstanie razem ze mną. To tutaj trzy są koleżanki, które były też wysiedlone. Tu w 1939 roku przenieśliśmy się właśnie do Kamionki pierwszy raz i ja z ojcem szłam na targ, mi jeszcze pokazywać gdzie, jakie zakupy należy robić. To takie to pamiątkowe zdjęcie.

Konrad Starczewski: Z racji tego, że tata był mundurowym, to mówiło się coś o wojnie w domu? Na pewno.

Henryka Milewska: Tak, tak.

Konrad Starczewski: Bo o tym, że nadchodzi wojna. Czy tata coś opowiadał o tym właśnie?

Henryka Milewska: To wie pan, opowiadał. W tej chwili trudno mi powiedzieć co, ale w każdym razie widziało się, że jest niespokojny czas i nie wiadomo co będzie. To ojciec właśnie. To nad Bugiem w Kamionce. Tutaj we trójkę. Mama, ja i ojciec. To w moim pokoju. To już ostatnie zdjęcia. I to.

Konrad Starczewski: A tutaj pierwsze z prawej zdjęcie, to co to jest?

Henryka Milewska: Słucham?

Konrad Starczewski: Pierwsze z prawej zdjęcie to kto to jest?

Henryka Milewska: Które? Tu?

Konrad Starczewski: Tak.

Henryka Milewska: Ja. Tu takie zamazane, nieudane, ale... Jako jedyne to są ułożone tak równo. I tutaj ja. I tutaj zdjęcia z Rosji już mamy.

Konrad Starczewski: O, właśnie.

Henryka Milewska: I moje.

Konrad Starzewski: To jest rok 1940?

Henryka Milewska: To jest 1940 rok. Jest to 1941, 1942 rok.

Konrad Starzewski: A jakie były okoliczności powstania tych zdjęć?

Henryka Milewska: Do paszportu robili nam, to wtedy przyjeżdżał fotograf i wszyscy pod rząd się fotografować. A to już po powrocie. Tak wyglądałam jak wróciłam.

Konrad Starzewski: Które zdjęcie to jest?

Henryka Milewska: To. To jest pierwsze zdjęcie zrobione po powrocie. Bo do szkoły zapisałam się i potrzebne było do legitymacji szkolnej. Do Batorego szłam do szkoły. A, to już później urlopy, wakacje. Różne takie.

Konrad Starzewski: Już po wojnie wszystko.

Henryka Milewska: Tak, to po wojnie. O, i już jak pokazuje, tak wyglądaliśmy oboje z mężem, jak się pobraliśmy.

Konrad Starzewski: No, pięknie.

Henryka Milewska: Kolejne z mężem moim. A tu nasza córka, nasz zięć, pan pułkownik.